

- **Od „nieograniczonej solidarności” do „zatrutych stosunków”.**
Konsekwencje ataku Al-Kaidy na USA dla relacji amerykańsko-niemieckich

Autor: prof. dr hab. Jadwiga Kiwerska

Atak terrorystyczny na Amerykę 11 września 2001 r. był wydarzeniem przełomowym zarówno dla Stanów Zjednoczonych, jak i w wymiarze europejskim, a nawet globalnym. Wstrząsając powszechnie opinią międzynarodową, przesądził na następne lata przede wszystkim o priorytetach amerykańskiej polityki zagranicznej i charakterze strategii USA, a także o relacjach Ameryki z innymi państwami. W sposób wyjątkowy wpłynął również na stosunki amerykańsko-niemieckie, które w pewnym momencie znalazły się w stanie głębokiego kryzysu.

Dramatyzm i spektakularność ataku Al-Kaidy, ogrom zniszczeń i liczba ofiar zszokowały nie tylko Amerykanów, ale całą społeczność międzynarodową. Uświadomiono sobie skalę zagrożenia, jakie niesie terroryzm międzynarodowy, przed którym nie obroniło się nawet supermocarstwo o ogromnym potencjale. Uderzenie w World Trade Center i Pentagon odebrano jako cios w cywilizację Zachodu. Dlatego - obok wyrazów solidarności, manifestowanej w wielu państwach ogłoszeniem żałoby narodowej, spuszczeniem flag do połowy masztu czy spontanicznymi demonstracjami - deklarowano wolę współdziałania z USA w wojnie z terroryzmem, ogłoszonej niemal natychmiast przez prezydenta George'a W. Busha.

Choćby z tego powodu 11 września 2001 r. niósł wyzwania dla polityki niemieckiej. Wprawdzie Niemcy bez wahania włączyli się w ten powszechny nurt okazywania współczucia Amerykanom, zapalając świece i składając kwiaty przed amerykańskimi placówkami dyplomatycznymi czy gromadząc się na manifestacjach poparcia (ponad milionowy tłum zebrał się 14 września 2001 r. przed Bramą Brandenburską, aby wyrazić solidarność z USA). Ale też władze niemieckie stanęły przed trudnym wyborem - przyłączyć się do amerykańskiej wojny z terroryzmem, co mogło oznaczać wejście z impetem w „zmilitaryzowaną” politykę, czyli zerwanie z powojenną tradycją „państwa cywilnego” (Zivilmacht), lub pozostać z boku zgodnie z zasadą powściągliwości, ryzykując napięcia w relacjach z USA oraz marginalizację na arenie międzynarodowej.

W sytuacji, gdy tak powszechnie demonstrowano poparcie dla Ameryki i deklarowano udział w wojnie z terroryzmem, reakcja Niemiec nie mogła być inna. Już następnego dnia po ataku Al-Kaidy kanclerz Gerhard Schröder, kierujący rządzącą koalicją SPD i Sojuszu 90/Zieloni, zadeklarował w Bundestagu „nieograniczoną solidarność” z USA, a następnie zgłosił akces Niemiec do koalicji antyterrorystycznej i zadeklarował udział w ewentualnej



akcji zbrojnej. Kanclerz powtórzył to w rozmowie telefonicznej z prezydentem Bushem. Wobec rodaków Schröder swoją decyzję o „nieograniczonej solidarności” uzasadniał następująco: „Jeśli nie będziemy współdziałać, wykluczmy się na lata”. Paradoksalnie, atak terrorystyczny otwierał zatem możliwość silnego zaprezentowania się Niemiec na arenie międzynarodowej jako państwo odpowiedzialne, usuwające w cień balast niechlubnej historii.

Udział żołnierzy niemieckich w zapowiadanej przez USA operacji zbrojnej w Afganistanie, gdzie ukrywał się Osama bin Laden, przywódca Al-Kaidy, wydawał się więc już przesądzony. Zwłaszcza że legitymizacją dla tej interwencji było bezprecedensowe w historii NATO wprowadzenie w życie art. 5 traktatu waszyngtońskiego o wzajemnej obronie, a także mandat ONZ umożliwiający podjęcie akcji zbrojnej, wreszcie wsparcie ze strony Unii Europejskiej.

Tymczasem przed rozpoczęciem operacji afgańskiej (Enduring Freedom) rozgorzała w Niemczech dyskusja dotycząca zasadności tej operacji: czy są ewidentne dowody winy Al-Kaidy (de facto pojawiły się one dopiero w 2002 r.) i jaka jest odpowiedzialność rządzących w Afganistanie talibów. Zastanawiano się nad groźbą eskalacji konfliktu poza granice Afganistanu, a także nad moralnym jego aspektem - jaką cenę zapłaci ludność cywilna. Pojawiły się prognozy, że Afganistan stanie się dla Amerykanów nowym Wietnamem i bynajmniej nie były to obawy o ich przegraną, ale zarzut o wojnie Goliata z liliputem.

Bez względu na racje, jakimi kierowała się ta część Niemców, która krytykowała plany interwencji i kwestionowała udział w niej Bundeswehry, oraz jak wiele było w tym przywiązania do Zivilmacht, po stronie amerykańskiej powstało wrażenie, że RFN grzęźnie w dysputach nad kwestią udzielenia poparcia sojuszniczego, oddaje pole pacyfistom i antyamerykanizmowi. Zwłaszcza że w miastach niemieckich teraz demonstrowano - wprawdzie już nie tak masowo, jak kilka tygodni wcześniej – pod hasłami „Precz z wojną” i „Precz z Ameryką”.

Pomimo to kanclerz Schröder był zdeterminowany, aby Niemcy wypełniły art. 5 traktatu waszyngtońskiego i uczestniczyły w operacji Enduring Freedom, która rozpoczęła się 7 października 2001 r. Zdawano sobie sprawę, że nie ma wyboru: albo poparcie działań amerykańskich, albo ryzyko izolacji Niemiec. Czynnikiem przesądzającym było też rosnące poczucie odpowiedzialności za bezpieczeństwo globalne. „Po zakończeniu zimnej wojny, odtworzeniu jedności państwowej Niemiec i odzyskaniu pełnej suwerenności stoimy przed zadaniem podjęcia odpowiedzialności w wymiarze międzynarodowym, odpowiedzialności, którą określa nasza rola – ważnego partnera europejskiego i transatlantyckiego oraz silnej demokracji i potężnej gospodarki w sercu Europy. (...) Właśnie my, Niemcy, którzy dzięki pomocy i solidarności naszych amerykańskich i europejskich przyjaciół oraz partnerów mogliśmy przezwyciężyć skutki dwóch wojen światowych, odzyskać wolność i suwerenność, jesteśmy teraz zobowiązani do podjęcia odpowiedzialności bez ograniczeń” - mówił kanclerz 11 października 2001 r. w Bundestagu, zabiegając o jego mandat dla udziału Bundeswehry w operacji afgańskiej.



Wobec zapowiedzi części deputowanych zarówno z partii Zielonych, jak z SPD głosowania przeciwko udziałowi żołnierzy niemieckich w operacji Enduring Freedom, co groziło, że wniosek upadnie, a nawet może doprowadzić do rozpadu „czerwono-zielonej” koalicji, kanclerz Schröder zdecydował się na ryzykowny manewr. W bezprecedensowy dla zjednoczonych Niemiec sposób połączył głosowanie nad mandatem z wotum zaufania dla swojego gabinetu. Wniosek postulujący wysłanie oddziałów Bundeswehry do Afganistanu został 16 listopada 2001 r. przegłosowany, ale wynik nie był imponujący - 336 głosów za i 326 głosów przeciwko. Wynik głosowania, a także podnoszone podczas debaty zastrzeżenia potwierdzały utrzymującą się niechęć części niemieckiej klasy politycznej wobec angażowania Bundeswehry w operacje militarne.

Tak więc narażając się kolegom partyjnym i ryzykując upadek własnego rządu, a także idąc „pod prąd” społecznym nastrojom, Schröder i Joschka Fischer, szef niemieckiej dyplomacji i lider tradycyjnie pacyfistycznych Zielonych, w tej dramatycznej batalii o zgodę na udział żołnierzy niemieckich w działaniach zbrojnych out of area (poza obszarem NATO) zademonstrowali nadzwyczajną lojalność wobec amerykańskiego sojusznika. Wydawało się, że będzie to gwarancją pogłębienia bliskich relacji na linii Berlin-Waszyngton.

Ale już wkrótce stosunki amerykańsko-niemieckie poddane zostały silnym wstrząsom, wywołanym kontynuowaną przez administrację Busha wojną z terroryzmem. Otóż stosunkowo łatwe - jak się wówczas wydawało - zwycięstwo USA w starciu z Al-Kaidą i talibami w Afganistanie wzmocniło w amerykańskiej doktrynie strategicznej rolę siły w polityce i wizję militarnego przewycięzania zagrożeń. W ogłoszonej w 2002 r. „doktrynie Busha” uznano użycie siły za istotną metodę rozwiązywania problemów, dopuszczono możliwość wojny prewencyjnej, wreszcie założono akcje unilateralne, bez liczenia się z opinią społeczności międzynarodowej. Wprawdzie nowa strategia odzwierciedlała zarówno potencjał USA, jak i ówczesne lęki Amerykanów, którzy po ataku Al-Kaidy stracili poczucie bezpieczeństwa. W jakiejś mierze odpowiadała też wymogom czasu, zdominowanego zagrożeniem terrorystycznym, wobec którego dyplomacja wydawała się bezradna, gdyż wróg odrzucał jakiekolwiek ograniczenie celów i dążył do całkowitego unicestwienia przeciwnika. Ale równocześnie „doktryna Busha”, wprowadzając kontrowersyjne metody walki z terroryzmem, była swoistą rewolucją w stosunkach międzynarodowych i dlatego wywołała ostrą krytykę. Napięcie wzrosło, gdy okazało się, że to Irak będzie miejscem realizacji „doktryny Busha”, a uzasadnienie tej akcji było mocno wątpliwe.

Wśród oponentów znalazły się Niemcy. Mimo że solidaryzowały się z USA w walce z terroryzmem, to jednak miały uzasadnione do nich pretensje o arogancję, skłonność do siłowego rozwiązywania problemów i pomysł usankcjonowania wojny prewencyjnej. Zwłaszcza forsowanie militarnego sposobu rozwiązania problemu terroryzmu, bez prób sięgnięcia do jego korzeni, pomocy dla państw, gdzie istnieje groźba rozwoju terroryzmu, stało się przedmiotem krytyki w Niemczech. Powracano więc do uwarunkowanej historycznie zasady Zivilmacht, jakby starając się osłabić wymowę niedawnej decyzji o wysłaniu wojsk, sugerującej „militaryzację” polityki.



Kanclerz Schröder zdecydował się nawet zdyskontować w kampanii wyborczej do Bundestagu w 2002 r. niechęć większości Niemców do działań administracji Busha, a zwłaszcza sprzeciw wobec zapowiadanej wojny z Irakiem. Po raz pierwszy w historii Republiki Federalnej partia głównego nurtu – SPD – wprowadziła ostre akcenty antyamerykańskie do kampanii wyborczej. Granie na takich emocjach sięgnęło zenitu w momencie, gdy członkini rządu federalnego przyrównała polityczne metody działania prezydenta Busha do taktyki Hitlera. I te właśnie antyamerykańskie akcenty pomogły koalicji SPD i Sojuszu 90/Zieloni triumfować w wyborach.

W takiej atmosferze relacje na linii RFN-USA nazwano „zatrutymi stosunkami”. Zostały one poddane dalszym turbulencjom na przełomie lat 2002 i 2003, gdy Berlin, obok Paryża i Moskwy (sic!), znalazł się wśród architektów tzw. frontu odmowy, ostro sprzeciwiającego się amerykańskim planom interwencji zbrojnej w Iraku. Niemcy przyczyniły się też w lutym 2003 r. do największego w dziejach NATO kryzysu decyzyjnego, blokując plany Busha wzmocnienia obrony antyrakietowej Turcji. Wszystko to podważyło kondycję układu transatlantyckiego, gdyż ważne ogniwo tego sojuszu - relacje USA z Niemcami - znalazły się w najgorszym stadium od powstania RFN, a amerykańskie przywództwo we wspólnocie zostało zakwestionowane i nadwerężone. Miało to też swoje konsekwencje w stosunkach Niemiec z Polską, która w sporze wokół interwencji w Iraku przyjęła jednoznacznie proamerykańską postawę, a następnie z nominacji USA objęła dowództwo w jednej ze stref okupacyjnych w Iraku. Te działania Warszawy, sprzyjające administracji Busha, spotkały się z bardzo krytyczną oceną niemieckich mediów i niektórych polityków rządzącej koalicji.

Tak więc doszło do kryzysu w relacjach amerykańsko-niemieckich, za który odpowiedzialność spadła głównie na administrację Busha, jakkolwiek zademonstrowana przez stronę niemiecką niemal konfrontacyjna postawa wobec USA, dyskontująca fakt, że Niemcy w drugiej dekadzie po zjednoczeniu były już państwem w pełni normalnym i silnym, tylko potęgowała napięcia. Temperatura sporu na linii Bush-Schröder wprawdzie z czasem osłabła: obie strony miały świadomość, jakie znaczenia dla własnych interesów oraz kondycji układu transatlantyckiego ma ich dobra współpraca. Rzeczywisty przełom w stosunkach amerykańsko-niemieckich nastąpił jednak dopiero wówczas, gdy kanclerzem w 2005 r. została Angela Merkel, która deklarowała: „Nasze bliskie partnerstwo i przyjaźń ze Stanami Zjednoczonymi to fundamentalny cel dla narodu niemieckiego”.